

KATARZYNA
KUJAWSKA

ALEKSANDRA
SELIGA



HISTORIE
Z ETHERTON

ZJAWY I MARY



KATARZYNA
KUJAWSKA

ALEKSANDRA
SELIGA



HISTORIE
z ETHERTON

ZJAWY

I MARY

TOM I



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Grafika na stronach rozdziałowych: © Martin / Stock.Adobe.com

Projekt okładki i opracowanie graficzne wyklejki: Łukasz Werpachowski

Projekt wyklejki: Katarzyna Kujawska

Grafiki wykorzystane na okładce i wyklejce: © kateja, © Zaleman,

© jenesesimre / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Katarzyna Kujawska

Copyright © 2024 by Aleksandra Seliga

Copyright © 2024, Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-034-1

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



WILHELMINA

1969

Wyszła tylnymi drzwiami. Po obu stronach korytarza paliły się lampy gazowe o fantazyjnych zdobieniach. Półmrok i chłód domu ustąpiły miejsca słonecznym promieniom, atakującym znienacka zaraz po przekroczeniu progu. Zasłoniła twarz książką i ruszyła przed siebie, szukając kryjówki w cieniu wielkich dębów rosnących w ogrodzie. W oddali widziała konie pasące się na rodzinnej łące, długi rząd stajni o krwistoczerwonych dachach, jeszcze dalej zeszłoroczne słomkowożółte bele siana, przybrudzone już i zdeformowane przez zimę, a wreszcie – Las. Granicę Lasu. Zadrżała. Kusiło ją, żeby pobiec po Eurusa, pędzić z nim przez pola pełne niedojrzałych, zielonych jeszcze kłosów pszenicy, daleko, daleko, aż do obszarpanych wiatrem skał przypominających grzyby i trolle, za którymi kończyła się Dolina. Lubiła ich dotykać – niekiedy porowate, pełne dziur i żłobień, w innych miejscach gładkie i równe, czasem miękkie od ciemnozielonego mchu, który pokrywał część z nich. Kryła się w tych skałach zawsze, gdy chciała pomyśleć w samotności. Ich fantazyjne formy sprawiały, że czuła silny respekt

przed wiatrem. To niezwykle, że potrafił zrobić coś takiego twardej, grubej i niewzruszonej skale. Zamienić ją w śmiesznego, uginającego się, przysadzistego grzyba – jak gdyby naigrywał się z niej.

Mina odgoniła od siebie te myśli i po chwili straciła już z oczu konie oraz stajnie, kryjąc się w starym sadzie owocowym. Słyszała brzęczenie pracowitych pszczół i bąków, które kołysały się delikatnie przy białych płatkach kwiatów jabłoni. Wreszcie dotarła na cmentarz. Było tak, jak się tego spodziewała. Z przodu, za furtką przy niskim, ośniedziałym, żelaznym ogrodzeniu jeszcze wszystko wyglądało normalnie. Najmłodsze groby, należące do zmarłych niedawno ciotek oraz małych kuzynków, wydawały się dokładnie takie jak kilka dni temu, kiedy Mina była tu z matką. Na każdym z grobów widniał symbol Rodziny oraz sentencja *Familia Ante Omnia*, którą krewni uwielbiali powtarzać przy każdej okazji – najczęściej wtedy, gdy robili coś niezgodnego z prawem, mającego przysłużyć się Rodowi i Aires Manison. Dotychczas w życiu Miny nie wydarzyło się nic, co mogłoby podważyć sens takiej postawy. Przeciwnie. Ostatnie wypadki utwierdziły ją w przekonaniu, że musi chronić Rodzinę. Miała niejasne przeczucie, że to, co tym razem im zagraża, jest dużo potężniejsze od wszystkich nieszczęsnych zagubionych dusz, upiorów i poltergeistów błąkających się od czasu do czasu po rezydencji. Nawet teraz, pomiędzy grobami, widziała ich lekko zarysowane cienie, maleńkie główki dzieci, korpulentne sylwetki ciotek, wujów, kuzynów sprzed lat, a nawet zupełnie obcych jej ludzi, być może krewnych, a być może tylko zabłąkanych wędrowców. Wreszcie dotarła na tyły cmentarza, gdzie stare, zarośnięte groby o wytartych napisach i poprzekrzywianych krzyżach liczyły sobie setki lat. To tutaj po raz pierwszy zobaczyła kamienne kopce.

Spacerując między grobami kilka dni wcześniej, zauważyła, że ktoś poukładał na ścieżce kamienie. Niektóre tworzyły małe kopczyki, inne rozstawione były w jakieś nieodgadnione formy czy

symbole. Kamienie były ciężkie, omszałe, bez wątpienia nie pochodziły z okolic rezydencji. Wyglądały raczej, jakby ktoś przeniósł je tu aż z Wietrznej Doliny. Mina zmarszczyła brwi i dostrzegła, że dziwne konstrukcje prowadzą do tylnej bramy cmentarza, aż do granicy lasu. Oczywiście to był tylko las, nie Las. Ten, choć stary i upiorny, na pewno nie mógł równać się z tamtym Lasem, który widziała dotychczas tylko z oddali, zawsze w towarzystwie Eurusa, zbliżając się do Niego na bezpieczną odległość podczas szaleńczych przejażdżek po polach. W Rodzinie mawiano jednak, że ich las, jeśli idzie się nim wystarczająco długo, łączy się z tamtym. Każdy las prędzej czy później musiał się z nim łączyć. Mina zniszczyła kamienne konstrukcje i odeszła.

Teraz, wróciwszy znów po kilku dniach, zauważyła, że nie tylko ponownie są na swoich miejscach, ale też jest ich więcej. Jakieś nieuchwytnie, rozmyte wspomnienie nagle pojawiło się na dnie jej umysłu i sprawiło, że na chwilę straciła równowagę, ale równie szybko odeszło. Zaciśnęła pięści – musiała być silna, myśleć logicznie, nie tracić głowy. Czyż nie tego zawsze ją uczono? Umysł ponad emocje. „Moc umysłu jest ogromna, kochanie”. Zadrżała po raz kolejny, tym razem jednak to nie był strach, ale ukłucie smutku, które znów odgoniła od siebie. Tak, kamieni przybyło, leżały na starych, dziecięcych grobach-aniołkach, ciągnęły się wzdłuż wydeptanej przez pokolenia ścieżki, piętrzyły przy tylnej furcie cmentarza. Kto je układał? Czy to był jakiś żart małych kuzynów? A może i tym razem działanie upiórów, wiecznie przyciąganych przez Rodzinę? Nie, Mina wiedziała, że teraz to coś innego. Znów poczuła strach, zamknęła na chwilę oczy i nagle usłyszała – nie, spostrzegła jakiś ruch nieopodal. Zerwał się wiatr, z lasu za bramą zaczęły sypać się płatki kwiatów i pierwsze listki, przestrzeń zafalowała i się wykrzywiła. Mina straciła równowagę, upadła prosto na kopiec z kamieni i boleśnie otarła nadgarstek. Wiatr wył gdzieś pośród grobów, a las

zza furtki jak gdyby napierał na nią, przeciskał się między prętami ogrodzenia, wyginał je, pęczył.

„Nie, przecież to niemożliwe! – pomyślała jeszcze, zanim korzenie, które wyłoniły się nagle spod kamieni, oploty jej kostki. – Przecież to nie możesz być Ty! Jesteś zbyt daleko!” Nie było już czasu, by rodzinną sentencją wezwać pomoc, nie było czasu na nic. Powinna była wiedzieć, domyślić się...

Ze snu wyrwał ją dzwon oznajmujący początek pory śniadaniowej. Delikatnie skrzypnęły drzwi, Mina oderwała wzrok od koronkowych draperii baldachimu rozpiętego nad łóżkiem i spojrzała w głąb pokoju. To była Dorithy.

– Panno Wilhelmino, za pół godziny cała Rodzina zbiera się na śniadaniu we Wschodniej Jadalni.

Matka siedziała przy stole, okadzona dymem z papierosa. Podniosła wzrok znad przeglądanej korespondencji i jedno jej spojrzenie wystarczyło, by wiedziała o koszmarze Miny. Wyciągnęła rękę z troską, pozbawioną jednak czułości, jedynie gestem, jak ona sama – nieustępliwie logicznym. Każda oznaka dbałości i opieki była ze strony matki przejawem pragmatycznego myślenia, nigdy uczucia. Nie, nigdy uczucia. To oczywiście rozsądne pocieszać dziecko w chwilach słabości, wspierać, dawać dobre rady. Kiedy tylko jednak Mina dochodziła do siebie i stawiała na nogi, matka natychmiast oddalała się do swoich spraw, rzadko będąc obok tak po prostu, dla samej choćby radości wspólnych chwil, współprzeżywania.

Mina usiadła przy niej. Wschodnia Jadalnia była najmniej mrocznym pomieszczeniem w całej rezydencji. Tu, jedząc śniadanie, mogło się jeszcze mieć wrażenie normalności Rodziny. Bardzo bogatej, luksusowej i onieśmielającej normalności. W Zachodniej Jadalni nie było już tak sielankowo i słonecznie jak tutaj, a kolacje

i przyjęcia, które tam urządzano, przeznaczone były tylko dla wybranych wtajemniczonych. Z tego też powodu urzędnicy sprawujący pieczę nad finansami Rodziny, nauczyciele i guwernantki, projektanci, dziennikarze i wszelcy interesanci przyjmowani byli zawsze na śniadania. Dwa lata temu za namową wuja Bacchusa uczyniono wyjątek dla pewnej szansonistki, która postanowiła myszkować w rezydencji na własną rękę podczas jednego z nocnych balów. Mina wzdrygnęła się na myśl o tym, w jakim stanie odnaleziono ją po tygodniu.

Krewni powoli schodzili się do jadalni, tworząc oryginalny, barwny korowód postaci, od pękatych ciotek powpychanych w koronkowe suknie i obwieszonych rodowymi klejnotami, przez fircyków wesoło podkręcających wąsy, aż po dzieciaki kompletnie ignorujące styl i szyk, z którego słynęła Rodzina, wpadające do jadalni w koszulach w kwiaty i dzwonach albo – o zgrozo – przebrane za kowbojów. Na końcu wprowadzono prababkę, której twarz jak zawsze zakryta była czarnym krepowym woalem. Wszyscy zajmowali miejsca przy stole. Mina chciała odejść, ale matka nakazała jej gestem, by została przy niej. Zgasła papierosa, chwyciła ze stołu popielnicę i położyła ją na dywanie tuż przy nodze krzesła. Zbliżywszy się do dziewczyny, spytała wprost do jej ucha, przekrzykując codzienny gwar porannych powitań i pozdrowień członków Rodziny:

– Sen?

– Tak. Ale znów nie pamiętam o czym.

Mina spojrzała na matkę, która przez moment wydawała jej się rozczarowana, ale szybko uśmiechnęła się i ścisnęła dziewczynę za ramię, wyrażając tym coś pomiędzy „przykro mi” a „weź się w garść”.

– Wilhelmino, jest piękny dzień. Po śniadaniu powinnaś pojeździć konno. Dobrze ci to zrobi.

– Oczywiście.

Dyskutowano – jak zwykle o poranku – o polityce, giełdzie, ekonomii, ekologii, wojnach w niestabilnych regionach świata, fundacjach, organizacjach, instytucjach... Z drugiej strony stołu wuj Bacchus wznosił toasty kawą w duchu *evviva l'arte*, chwalił się mecenatem, jaki objął nad kolejnym obiecującym malarzem, opowiadał podekscytowany o postępach jego ekipy szukającej wraku jakiegoś statku, który zatonął dwieście lat temu, a na którego pokładzie znajdowały się bezcenne rzeźby.

– Znajdziecie ten statek? – spytała Mina zaciekawiona.

Wuj klasnął w rękę.

– Z małą pomocą naszych niewidzialnych... O, *pardon!* Wi-dzialnych tylko dla niektórych, w tym dla ciebie, przyja...

– Bacchusie! – zagrzmiała kuzynka Maribel. – Nie przy śniadaniu, nigdy przy śniadaniu!

Wuj wykrzywił usta w podkówkę, po czym mrugnął do Miny. Uniósł filiżankę z kawą i kiwnął głową na znak przeprosin. Wszyscy znów spojrzeli w swoje talerze, a po chwilowej ciszy pokój na powrót rozbrzmiał brzęczeniem sztućców i szmerami rozmaitych watek. Wreszcie, kiedy najedli się do syta – to znaczy wypili mnóstwo kawy i uszczknęli nieco wyrafinowanych potraw, gdyż członkowie Rodziny nie mieli w zwyczaju grubiańsko się obżerać – prababka dała znak drżącą ręką, że chce wstać od stołu. Stanowiło to od lat umówiony sygnał końca śniadania, po którym każdy rozchodził się do swoich zajęć. Przed prababką robiła to jej matka, a jeszcze wcześniej jej matka. Nikt nie miał wątpliwości, że w tej Rodzinie panuje matriarchat.

IVY

2010

Znów obudziłam się zdezorientowana. Znajomy od wielu lat szok i zaprzyjaźniona panika kierowały moim ciałem i psychiką jak dobrze zaprojektowaną maszyną. Gwałtownie usiadłam, nerwowo kopiąc pogniecioną i jeszcze ciepłą ciemnozieloną pościel. Moje bose stopy opadły na drewnianą podłogę, a dłonie spoczęły płasko na trzęsących się udach. „Ziemia pod stopami, poczuj ziemię pod stopami”, pomyślałam, jednocześnie odnosząc wrażenie, że w moim całym ciele buzuje energia. Oddech znowu szalał mi w klatce piersiowej, a ja wszelkimi siłami starałam się nad nim zapanować. „Skup się na oddechu, znasz to, wiesz, jak się opanować, odpuść i oddychaj”, myślałam dalej, czując złość i irytację na samą siebie. Rozchyliłam nieco ściśnięte powieki, które odruchowo odcięły się od pokoju i uciekły w niebezpieczną, ale znaną czerń zamkniętych oczu. „Oni nie wrócą, nie żyją, wiesz o tym, do cholery, więc oddychaj”, powtarzałam jak mantrę, starając się poczuć podłogę pod stopami, powiew nocnego wiatru na odkrytej skórze ramion i szum deszczu dochodzący z dworu. „Bądź tu”,

powiedziałam w duchu bardziej stanowczo, a mój wdech powoli zrównał się z wydechem, dłonie zastygły na udach, umysł zaś podążał za spokojem ciała, aż wreszcie byłam w stanie otworzyć oczy. Pokręciłam z irytacją głową, przetarłam twarz dłońmi, wstałam i wychodząc z ciemnego pokoju w kierunku kuchni, szepnęłam tylko jedno słowo: „Dość”.

Nie wierzę w nic, tak nauczyli mnie rodzice. „Nigdy w nic nie wierz, dopóki nie zobaczysz tego na własne oczy”, mawiała moja mama. Nie rozumiem, czemu wszystkie wspomnienia, gdy mówiła do mnie te same słowa, zlały się w mojej głowie w jedno. Mama stoi przy drewnianym, wysłużonym stole w kuchni i kroci szczypiorek nożem z czerwoną rączką. Ojciec siedzi na krześle po drugiej stronie w towarzystwie książek, albumów botanicznych i notatek. Ja stoję za mamą, oburzona i poruszona – nie przejęła się wiadomością, że w naszym ogrodzie, za ścianą bluszczu, mieszka demon i wciąga ludzi do kamiennej sadzawki.

– Eve go widziała! – krzyczę w jej stronę, a moja dziesięcioletnia buzia staje się coraz bardziej czerwona.

– Już ci mówiłam, Ivy, jeśli nie widziałaś czegoś na własne oczy, nigdy w to nie wierz – odpowiada mama, umiejętnie starając się ukryć rozbawienie za karcącym, ale troskliwym tonem.

Rozzłoszczona krzyżując ręce na piersi i podbiegam do niej.

– Tak? A jak już zobaczę, to wtedy mogę uwierzyć?

Ta dociekliwość i szczerłość dziecka! Do tej pory za tym tęsknię.

Ojciec tłumy śmiech i zerka w naszą stronę, szepcząc tak, jakby starał się, żeby tylko mama go słyszała.

– Nie ma potrzeby, wtedy widzisz rzeczy takie, jakimi są.

Nie zdawali sobie sprawy, że już wtedy potrafiłam łączyć fakty i obserwować ludzi. Wszystkie rozmowy z rodzicami wirują w mojej

pamięci w tańcu kolorów, zapachów, smaków i emocji. Kiedyś myślałam, że to sielska mieszanka, błoga pamiątka po szczęśliwym dzieciństwie w drewnianym domu na skraju Lasu, ale piętno czasu i świadomości splamiło to bólem, tęsknotą i złością.

Ostatni zapamiętany rodzinny spacer po Lesie. Zastał nas mrok i wracaliśmy do domu, oświetlając ścieżkę jedną latarką, otoczeni z każdej strony przez gęstniejącą ciemność. To najcenniejsze wspomnienie stało się w mojej pamięci po prostu ostatnim spacerem. Kropka. Wszystko nagle stało się ostatnie.

Nazywam się Ivy Terran, urodziłam się dwadzieścia jeden lat temu, z czego jedenaście ostatnich spędziłam ze świadomością, że moi rodzice odeszli, zaginęli, nie wiem, co się z nimi stało. Nie żyją? Pobliski Las stał się ich żywym grobem. Nikt tak naprawdę nie wie, co się wydarzyło.

Rodzice byli botanikami, poznali się na studiach, a zarabiali na życie, opisując endemiczne gatunki roślin. Wyszli jak zwykle wcześniej rano, uzbrojeni w aparaty fotograficzne, notatki i obiektywy. I słuch po nich zaginął. Nigdy ich nie odnaleziono. Jak przez mgłę pamiętam wszystko, co nastąpiło po ich zaginięciu.

Czasem wspominam chaos i całą feerię zapachów mokrych ubrań, gdy przez dom i ogród przewijały się tabuny ludzi z naszego miasteczka, wchodzące w skąpany w deszczu Las z latarkami i przeszukujące każdą polanę i każdą gęstwinę. Pamiętam megafony, rażące bładoniebieskie światła radiowozów, pamiętam miękki koc na ramionach, którym mnie ciągle otulano. I cierpki smak herbaty z rumianku. Docierają do mnie obrazy z przeszłości, kiedy poganiana do snu przez ciotkę Teresę, siostrę mojej mamy, wykradałam się z łóżka, wspinałam po spiralnych schodach na strych i obserwo wałam cały sznur świateł latarek powoli kierujący się w stronę Lasu.

Mimo że byłam w szoku i śmiertelnie się o nich zamartwiałam, nie wierzyłam, że stało im się coś naprawdę złego. To była przecież nasza szczęśliwa rutyna i nasz Las. Rodzice wracali zawsze po ósmej, gdy budziłam się ja, zwabiona przez ich głosy, zapach parzonej kawy i smażonych jajek. Zbiegałam co rano na dół po starych, rozklekotanych schodach, by zjeść z nimi śniadanie, a oni jawili mi się niczym odkrywcy magicznych krain: ich spocone twarze, mokre kalosze w przedpokoju, rozrzucony sprzęt fotograficzny i zapach rosy wniesionej do domu. Aż do tego przekłętego poranka, gdy obudziłam się po ósmej, a w domu panowała złowroga cisza.

Z perspektywy czasu widzę, że szok i nagła zmiana rzeczywistości zaczęły dyrygować moją psychiką i życiem. Panika, bezsilność i niepewność stały się moimi towarzyszami, a moja stopa nie stanęła w Lesie przez długie lata. Lęk był przy mnie w dzień i w nocy, pojawiły się koszmary, ataki paniki i paraliże senne, które zaciskały mnie w swoich szponach szaleństwa. Każdej nocy śnił mi się nasz Las w lustrzanym odbiciu. Był mroczny, spowity gęstą ciemnością i lepiącymi się od wilgoci pajęczynami. Co noc Las przychodził do mojego snu, a wraz z Nim jego zjawy i mary, które we współudziale z moją podświadomością tworzyły przerażająco twórcze koszmary z piekła rodem.

Ciotka robiła wszystko co w jej mocy, by mi pomóc, całkowicie oddała się mojemu wychowaniu, ale te starania były daremne. Moja psychika została spaczona na zawsze i wiele lat musiało minąć, zanim pogodziłam się ze stratą i z niewiadomą na tyle, że byłam w stanie zasnąć bez światła nocnej lampki. Miałam czternaście lat, gdy koszmary stały się moją codziennością, nieodłączną częścią prywatnego świata. Nie pamiętałam już wtedy, co to znaczy pójść spać i obudzić się rano, tak zwyczajnie, jak człowiek. Dla mnie noc wiązała się z koszmarami, atakami paraliżującego lęku i poczucia, że Las napiera na mnie i chce mnie pochłonąć. Byłam już wtedy bardzo zmęczona psychoterapią w Etherton Lunatic Asylum, na

którą ciągała mnie ciotka, ale nie chciałam robić jej przykrości, więc podeszłam do tego jak do irytującego przedmiotu w szkole. Mówiłam to, co chciano usłyszeć, a potem wbiegałam na poddasze, zamykałam ciężkie drzwi i znowu stawiałam się sobą. Zrozumiałam wtedy, że jeśli sama nie wezmę się w garść, to nic mi już nie pomoże. Wiedziałam doskonale, że strach i przerażenie stały się dla mnie zamkniętym i cyklicznym epizodem, który odgrywał się co noc i zadomowił w mojej sypialni. To właśnie wtedy, zupełnie przypadkowo, lekarz zasugerował ciotce, aby zaangażowała mnie w opiekę nad roślinami. Miało mi to pomóc ukorzenie się znów w materialnej rzeczywistości, dosłownie stanąć na nogi.

I właśnie to się wydarzyło – babranie się w ziemi, brud pod paznokciami, praca z korzeniami, kwiatami i ziołami ugruntowały mnie tak mocno, że nauczyłam się radzić sobie z moimi nocnymi koszmarami. Robiłam to samo co rośliny, zakorzeniałam się w ziemi, w poczuciu gruntu pod stopami i ciałem, gdy chemiczna mieszanka paniki i adrenaliny pędziła moimi żyłami.

Mrok i strach zawsze przychodziły do mnie na pograniczu snu i jawy, dlatego nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, czy coś mi się śni, czy nie. Bez ziemi popadłabym wtedy w szaleństwo, flora stała się moją kotwicą. Za każdym razem, gdy przychodziły do mnie mary, zjawy i cienie, myślałam tylko o jednym: czy to, co się ze mną dzieje, jest prawdziwe? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, bo sama nie rozumiałam mojej przypadłości; wiedziałam tylko tyle, że doświadczam jej co noc, więc dla mnie było to najprawdziwsze, bo działa się w mojej głowie.

Wzdrygnęłam się oszołomiona, że znów wpadłam jak ofiara w pajęczyne swoich myśli. Siedziałam w półmroku przy tym samym drewnianym stole, który wspomniałam z dzieciństwa, a w zasięgu

mojego wzroku na podstawce leżał ten sam nóż z czerwoną rączką. Stary zegar rytmicznie odmierzał godziny nocy, która dążyła do świtu. Zerknęłam w lustro, które wisiało po mojej prawej stronie: wyglądałam jak trup. Zawsze byłam blada, a ciemne włosy jeszcze bardziej to podkreślały. Zawieszony nad lustrem bukiet suszących się rumianku i lawendy przykuł moją uwagę i ciało samo skierowało mnie do czajnika, aby zaparzyć z nich herbatę, która pomoże mi w spokoju zasnąć. Napełniłam czajnik wodą i wyjrzałam za okno przez koronkową zasłonkę. Las roztaczał się na całym horyzoncie jak gigantyczna czarna zasłona, poruszana tylko przez nocny wiatr. Był ze mną spleciony we śnie i na jawie, a ja byłam Jego więźniem, niedokończoną historią.

Znanym mi już bardzo dobrze schematem reszta nocy minęła spokojnie. Wzór i cykliczność moich przypadłości zaczęły mnie niejako fascynować. Wszelkie jednak napomknienia ciotce na ten temat spotykały się z jej uważnym podpatrywaniem mnie. Teresa zdawała się bardzo wyczulona na zmiany mojego samopoczucia i odbiegające od normy myśli, a biadolenie o tym, że Las chyba wpływa na moje sny, zdecydowanie do takich należało. Uważam nawet, że w swojej głowie ciotka wyobrażała sobie mnie jako kruche stworzenie, na które wiecznie trzeba mieć oko. Nie miałam jej tego za złe. Stałam się więc ostrożna i nigdy już nie mówiłam o moich teoriach głośno. Wyraźnie czułam, że coś lub ktoś musi sterować moją świadomością we śnie. Koszmary pojawiały się zbyt rutynowo, a struktura ich występowania w godzinach od zmierzchu do świtu wydawała mi się głęboko przemyślana. Łapałam się na tym, że roztrząsanie natury moich snów zaczęło zajmować mi całe dni. Podejrzewam, że tego właśnie bała się ciotka. Że w końcu zwariuję. Jeśli mam być szczerą, sama się tego bałam. Nie była to jednak wizja gorsza od dalszego życia w niewiedzy i poczekalni. Czułam, że moje życie po zaginięciu rodziców znalazło się w kropce. Skończyłam szkołę średnią i nie

poszłam na studia. Perspektywa wyjazdu z miasteczka była kusząca, ale widmo opuszczenia domu przejmowało paniką i powodowało ścisk w żołądku. Wciąż czułam się tą przerażoną dziesięciolatką, która czeka na powrót rodziców z Lasu. Ta historia nigdy się nie zakończyła, a ja bez tego nie mogłam ruszyć do przodu.

Każdego dnia starałam się być zajęta i w pełni skupiona na czynności, którą w danej chwili wykonywałam. Wyjątek stanowiło zrywanie o świcie mięty pieprzowej, która rozrastała się przy całej długości ceglanego murku, oddzielającego naszą ziemię od pola. Porastał go bluszcz, który ponoć rósł tu od zawsze. Nikt nie pamiętał, kto go tak właściwie zasadził. Jako małe dziecko wyobrażałam sobie, że był tu od początku świata, i nikomu nie pozwalałam go przycinać. Pola, malowane fioletowymi dzwoneczkami, niebieskimi chabrami i czerwonymi makami, rozdzielała mała, wąska ścieżka, która prowadziła do Lasu. Zrywając wonne listki mięty, nigdy nie mogłam skupić się na niczym innym niż na jak najszybszej chęci powrotu do domu. Nie lubiłam przebywać tak blisko Lasu. Zawsze czułam na plecach Jego oddech w woni wiatru. Nie potrafiłam się zmusić, żeby dłużej na niego popatrzeć. „Nie wczuwać się” – to było moje motto. Przecignięte o sekundę za długo spojrzenie w tę ciemnozieloną zasłonę groziło znajomym dreszczem, który porażał mnie pierwotnym strachem. „Nie wczuwaj się”, powtarzałam sobie zawsze, gdy sprawnym ruchem odcinałam listki i chowałam je do lnianego woreczka. Tak też było i dzisiajszego poranka.

Pogoda zapowiadała się cudownie, a wiatr roznosił zapach letnich kwiatów po całym ogrodzie. Schowałam zioła i pośpiesznie wstałam, odwracając się w stronę domu. Gdy tylko objęłam go wzrokiem, uśmiech sam pojawił się na mojej twarzy. Drewno, z którego go zbudowano, miało już swoje lata, było miejscami zmurszałe i zniszczone, ale nic nie mogło równać się z jego zapachem, szczególnie po wiosennym deszczu lub letniej burzy.

Kochałam każdy zakamarek tego starego domu i zarośniętego bluszczem ogrodu. Jak mogłabym kiedykolwiek opuścić to miejsce? Całe dni spędzałam w tym dzikim siedlisku i zakotwiczałam się w pracy, kopałam, pielęłam, sadziłam, przesadzałam, ścinałam, podlewałam. Obserwowałam życie moich roślin w tym odwiecznym tańcu między ziemią, słońcem a wodą. Sama gdzieś w tym znikałam i nie myślałam o niczym innym, nie myślałam już o Lesie, rodzicach ani swojej klatce, którą tu dla siebie zbudowałam.

Podążyłam małą ścieżką do kuchni, mijając sędziwą sadzawkę, w której to miał kiedyś mieszkać demon. Wspięłam się na kamienne schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, i znalazłam się w drewnianym holu. Podobno każdy dom posiada swój unikatowy zapach. Mój roztaczał woń kościelnego kadzidła, gęstego leśnego boru i podmokłej łąki pełnej kwiatów. Przechodząc w stronę kuchni, zawsze mijałam dwa gigantyczne kwarce dymne, które ojciec sprowadził z Brazylii. Stały na straży przejścia (takie się miało wrazenie), a światło wschodów i zachodów słońca tańczyło w ich bosko poukładanej atomowej strukturze.

Zerknęłam w stronę schodów, nasłuchując, czy Teresa już wstała. Na wspomnienie, że w okresie studiów była nocną sową i spała do dziesiątej, zaśmiałam się pod nosem. Powrót do rodzinnego domu przywrócił jej stare nawyki i znów wstawała zazwyczaj chwilę po mnie. Wszyscy, którzy kiedykolwiek gościli u nas, zawsze jednogłośnie twierdzili, że nie da się tu długo spać. Dom i ogród budziły się pierwsze, a swoimi zapachami i dźwiękami bezkompromisowo wybudzały wszystkich domowników.

Ciotka zamieszkała ze mną na stałe; prowadziła w miasteczku sklep z rzadkimi roślinami, które zdobywała z wszelkich zakątków świata. Właściwie to nie wiem, czemu uparcie nazywam ją ciotką, gdyż przez lata stała się bardziej moją przyjaciółką. Po odejściu

rodziców nigdy nie mianowała się panią tego domu, zawsze podkreślała, że to moja ziemia, mój dom i moje dziedzictwo – i uwielbiałam ją za to.

Dom był pełen dziwnych roślin, suszących się ziół, zakurzonych książek i budzących zaciekawienie i dreszcz bibelotów. Nie było tu ani jednej białej ściany, a pokoje tonęły w granatach, ciemnych zieleniach, brązach i odcieniach ametystu. Ojciec kolekcjonował minerały i ustawiał je w tak dziwnych miejscach i aranżacjach, że często miałam wrażenie, jakby to one rządziły tym domem. Teraz jednak cały ten starannie wyselekcjonowany bałagan napierał na mnie każdego dnia i krzyczał mi w twarz, że należy do mnie, że innych gałęzi rodu Terranów już nie ma. Łapał mnie za włosy, za gardło, targał moimi ramionami i rozkazywał stanięcie na nogi. Przyjmowałam te naciski na siebie, ale pozostawałam bierna i milcząca.

W kuchni panował tak błogi i świetlisty spokój, jaki można napotkać tylko wcześnie rano. Przystronne okno ukazywało ogród i oddalony Las. Patrzyłam obojętnie, jak rozciąga się na całym horyzoncie, i jednocześnie gotowałam na ogniu owsiankę. Tu byłam bezpieczna, chroniona przez dom, przynajmniej za dnia. W nocy diametralnie zmieniał on swe oblicze i wyrzekał się mnie, a ja stawałam się zdana tylko na siebie.

– Nie mogłam zasnąć do drugiej – usłyszałam za plecami chrapliwy jeszcze głos ciotki.

Ucieszona, że ktoś oderwał mnie od mojej własnej głowy, odwróciłam się i lekko uśmiechnęłam.

– Kawa już się parzy – odpowiedziałam i zdjęłam z ognia mały emaliowany garnuszek, po czym ustawiłam go na drewnianej podstawce na stole. Z kolorowego kawałka hebanu patrzył na mnie psychodeliczny wąż namalowany przez jednego z tych dziwnych znajomych moich rodziców, którzy zawsze przywozili niesamowite pamiątki z podróży po Ameryce Południowej.

– To już dzisiaj? – spytałam, siadając na krzesło i nakładając porcję owsianki do dwóch misek.

Teresa ziewnęła, mocniej zawiązała fioletowy szlafrok i usiadła naprzeciwko mnie. Jej brązowe włosy, zaplecione przed snem w staranny warkocz, pouciekały z potrójnego splotu i opadały niedbale na plecy.

– Tak, mam u niego być na szesnastą. W gabinecie na starówce. Ktoś go chyba przywiezie, bo on już raczej nie chodzi o własnych siłach – odparła smętnie. – Przeklęty Henderson! Już chcę mieć to za sobą – dodała ze złością, zerkając na mnie. Teresa była o rok starsza od mojej mamy, ale czas obchodził się z nią nader łaskawie. Miała urzekające orzechowe oczy, a brąz jej włosów nabierał rudawych refleksów.

Starego Thomasa Hendersona znano z dwóch rzeczy: był największym gburem, jakiego można sobie wyobrazić, i właścicielem kamienicy, w której znajdował się sklep ciotki. Nie znosiłam dziada. Miałam wrażenie, że wystarczyło, by wszedł do pomieszczenia, a wraz z nim do czterech ścian dostawała się gęsta czarna ciecz. Każde jego słowo i każdy gest krzyczały, że z całego serca gardzi wszystkimi dookoła. Przez lata nie mogłam uwierzyć, że ktoś zgodził się za niego wyjść i urodzić mu dziecko! Nigdy nie poznałam jego syna – Seamusa – ponoć wyjechał z miasteczka i nie odwiedzał ojca.

– A tak właściwie to uargumentował jakoś tę nagłą zmianę czynszu? – spytałam, bardzo mocno chcąc przekierować rozmowę na logiczniejsze, mniej emocjonalne tory. Moje nocne przypadłości dostarczyły mi już wystarczającą dawkę negatywnych uczuć. Nie chciałam oczywiście umniejszać irytacji Teresy osobą Hendersona, ale po tej nocy naprawdę miałam dość.

Ciotka grzebała w misce z owsianką, tak jakby dostała ją dziś za karę.

– Tak – rzuciła, oddzielając łyżką rodzynki od orzechów włoskich. – Bo może. – Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się kwaśno.

Parsknęłam w swoją filiżankę naparu z miodokrzewu, który piłam co rano.

– Swoją drogą, zawsze zastanawiało mnie, jak ten dziad to robi. Z wszystkimi ma na pieńku, do tej pory pamiętam, jak nauczycielki w szkole obgadywały go, gdy myślały, że nikt nie słyszy. Każda miała w rodzinie jakieś utarczki z Hendersonami. Jakim cudem ludzie nadal wchodzi z nim w nowe interesy? Jakim cudem on nadal jest burmistrzem? – spytałam, bardziej samo życie niż Teresę.

– Nie wiem, Ivy, właściwie to nawet nie da się z nim rozmawiać, człowiek boi się odezwać. – Westchnęła ciężko. – Czasem mam wrażenie, że robię z siebie kompletną idiotkę przed tym człowiekiem. Czepia się wszystkiego: że woda kapie z podstawek i niszczy posadzkę, że kawałki ziemi wlepiją się w fugi, że... i to jest moje ulubione... sąsiedzi skarżą się na zapach, kiedy kwitną kwiaty! – Podniosła palec w stronę swojej szyi, udając, że podcina sobie gardło. – On nie ma granic, doczepi się do tego, że źle oddychasz.

Teresa wstała i podeszła do lodówki. Jej mina była skupiona, a palce wygrywały rytm na kubku czarnej kawy, który obejmowały. W polu mojego widzenia błysnął kolor najprawdziwszej niezapominajki. Nic tak nie poprawiało mi nastroju jak widok dawno niewidzianego koloru. Skupiłam się znów na jej dłoniach i tym unikatowym odcieniu lakieru do paznokci. Ona studiowała tymczasem dużą kartkę z zamówieniem przyklejoną do drzwiczek lodówki.

Już otwierałam usta, aby zanurzyć się dalej w psychoanalizie osoby starego Hendersona, gdy Teresa powiedziała:

– Dasz radę dokończyć mieszanki do piętnastej z kawałkiem? Wtedy będę mogła je zabrać, jak będę jechać do miasta.

Moja uwaga w pełni powróciła do chwili obecnej. Wzmoczone nocne przypadłości ostatniego tygodnia zupełnie wybiły mnie z codzienności, w tym również z pracy. Dłuższą chwilę zajęło mi poskładanie z odmętów pamięci moich ostatnich poczynań związanych

z przygotowywaniem specjalnych mieszanek ziołowych na przeróżne dolegliwości. O dziwo największym powodzeniem w sklepie cieszyły się lniane woreczki z mieszanką ziół na dobry sen. Czy można sobie wyobrazić większą ironię losu?

Wszystkim zajmowałam się sama, od wysiewu do zbierania, suszenia, odmierzania i komponowania. I o ile sięgam pamięcią, nikt nigdy nie przekazywał mi sekretnych rodzinnych receptur. Mama nauczyła mnie tylko jednego: wsłuchaj się i będziesz wiedzieć.

– Powinnam zdążyć – zaczęłam ostrożnie, próbując wy badać wyraz jej twarzy.

Miewałam wrażenie, że każdy najdrobniejszy przestój w mojej pracy jest dla Teresy wystarczającym powodem do zamartwiania się. Ciotka albo była fantastyczną aktorką – a miała w bagażu doświadczeń epizod z teatrem – albo nie zinterpretowała moich słów tak, jak myślałam, że to zrobi. Kiwnęła tylko porozumiewawczo głową, dziarsko dopijając ostatni, zimny już łyk kawy. Momentami Teresa, ze swoją umiejętnością radzenia sobie z życiem na własną rękę, wydawała mi się nadczłowiekiem. A może to ja byłam jakaś skrzywiona?

– Wszystkie woreczki na problemy żołądkowe, odporność i pamięć są w sumie gotowe. Muszę je tylko przewiązać tasiemkami i dodać fiszki. W sennie mieszance brakuje odrobiny trawy cytrynowej. – Zamyśliłam się, próbując sobie przypomnieć, czy ilość suszących się ziół jest wystarczająca na czterdzieści woreczków. – Zaraz się za to wezmę.

– Dobrze. A wiesz, że ja właściwie nigdy nie rozumiałam roli akurat tego składnika w mieszankach na sen? – stwierdziła, zbierając puste miski do ceramicznego zlewu.


– Sny są bardziej kolorowe – rzuciłam automatycznie.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)